Nr. 9 Poznań, dnia 1 Marca 1908 r. Rok XII.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



Kilka słów o pracy i oświacie.

Nie od dziś toczą się w społeczeństwie naszem spory, mające rozstrzygnąć kwestyę, jakiego rodzaju praca publiczna lepsza i skuteczniejsza jest dla ogółu: praca cicha — czy też robota zamaszysta, gorąca, rozbrzmiewająca echami toczącej się walki.

Według nas ta i tamta jest dobra, byleby zachowywała miarę i stosowaną była zręcznie i umiejętnie. Praca cicha nie powinna przechodzić w gnuśność lub marazm. Praca głośna nie powinna wyradzać się w cczę krzykactwo. Jednemu i drugiemu rodzajowi pracy publicznej grożą poważne niebezpieczeństwa. Niejeden cichy działacz przy działaniu swem zasnął snem błogosławionych i żadnych nie przysporzył ogółowi korzyści. Niejeden głośny agitator stał się natrętnym a pustym rezonerem, niekiedy więcz szkodliwym. Mówimy to ogólnie a nie stosujemy tego do Księstwa.

Zatem i w tej sprawie złota droga środnicowa będzie najodpowiedniejszą. Praca rzeczywista, jeżeli ma być skuteczna, potrzebuje ciszy i spokoju. Jednakże, jak każda rzecz ludzka, i ona potrzebuje bodźca, podniecen, propagandy.

Tę zaś rolę trudno wypełnić bez trochę krzyku i wrzawy. Nie wynika jednak z tego, jakoby krzyczenie było rzeczą najważniejszą. Społeczeństwo, któreby w krzyczeniu na całe gardło — jak się ktoś wyraził — upatrywało kwintesencyę swej polityki, podobnem by było do owego stada baranów z bajki, które póty dokumentowało swe istnienie, becząc przeraźliwie pod lasem, aż bekiem swym zwabiło wilka — wroga, który je zjadł. Mądrość najwyższa: w stosownym czasie działać, w stosownym krzyczeć. Najlepiej i w tej mierze zaprowadzić podział pracy i nie wymagać krzyczenia od wszystkich.

Zamiłowanie bądź to do cichej, bądź to do głośnej pracy publicznej jest rzeczą indywidualną. Są robotnicy, którzy, gdy podnoszą jakiś ciężar, niczyjej nie zwracają swem zachowaniem się uwagi, są tacy, którzy przy tej czynności stękają, nawołują, klną i wszczynają straszliwą wrzawę, która częstokroć w żadnym nie stoi stosunku do wykonanej pracy. Tak ci, jak tamci mogą być porówno użyteczni, pierwszych jednak można użyć do wykonania jakiej ważnej roboty dajmy na to na wojnie w pobliżu samych okopów nieprzyjacielskich, drugich zas nie. Podobnie ma się sprawa z wspomnianemi odmianami działaczów publicznych. Jedni oddadzą świetne usługi, gdy będzie chodziło o roboty, odbywające się wewnątrz społeczeństwa, drudzy odpowiedniejsi będą do manewrowania przeciw nieprzyjacielowi. Chodzi o to, aby każdy wybrał najodpowiedniejsze swemu usposobieniu i zdolności pole działania, a nie garnął się do spraw, do których brak mu talentu.

Może rzadko które społeczeństwo tak silnie akcentuje konieczność pracy publicznej, a tak mało przytem wydaje rzetelnych działaczów, jak nasze. Tłumaczy się to naszem nieszczęśliwem położeniem nie tylko politycznem, lecz oświatowem i materyalnem. Rozumiemy wybornie, że powinniśmy zajmować się pracą publiczną jak najwięcej i jaknajumiejętniej, równocześnie spostrzegamy jednak, że brak nam ku temu sił, ludzi i środków. Wykreślimy z listy pracy publicznej księży, a przekonamy się, jak mało nam pozostaje. Gdy dalej badać będziemy, dla czego tak stosunkowo szczupłe grono osób zajmuje się pracą publiczną, a ci co się jej oddają, upadają pod jej nadmiarem, przekonamy się, że nie sama wygoda temu winna, lecz w daleko wyższym stopniu: brak odpowiednich wiadomości, i zależność ekonomiczna od Niemców.

Z tego niemiłego położenia wybawić nas może jedynie rzetelna praca oświatowa i zawodowa oraz lepsza jak dotychczas ekonomiczna solidarność społeczeństwa.

Potrzeba oświaty i ekonomicznej solidarności społeczeństwa na ogół dość jest uznana. Nie zawsze w praktyce jednak wykonywana. Natomiast zdawać by się mogło, że zbyt mało szanujemy rzetelną pracę zawodową, a przecież bez niej wogóle nie istniałoby społeczeństwo.

Bardzo często można słyszeć zdania, że praca zawodowa nie upoważnia do uznania, tymczasem chwalimy głośno choćby najskromniejszych działaczów publicznych. Nie rzadko zdarza się, że o człowieku, pracującym w pocie czoła na utrzymanie rodziny, a nie udzielającym się pracy publicznej, mówimy z pewnem odcieniem lekceważenia, a nawet podajemy w wątpliwość jego uczucia patryotyczne.

Tymczasem powiedzieć sobie winniśmy, że nie każdy nadaje się do pracy publicznej. Nie wszystko jest stosownem dla wszystkich. Natomiast każdy jest zobowiązany do pracy dla siebie i nad sobą, która, jeżeli przy-

świeca jej myśl patryotyczna i społeczna, w niczem co do godności nie ustępuje tamtej.

I my pragniemy jak najobfitszy zastęp obywateli widzieć przy pracy publicznej, uznajemy, że w naszem położeniu praca ta jest nadzwyczaj ważna, jednakże nie możemy się na to zgodzić, aby ona była jedyną miarą użyteczności danego obywatela, a nawet z góry uprawniała do obejmowania dobrze płatnych urzędów w instytucyach naszych, jak to proponowano z pewnej strony. Nie każdy, kto umie pięknie pisać, mówić, lub posiada wybitne zdolności agitatorskie, będzie dobrym finansistą, biuralistą lub kupcem, a takich tylko potrzebować możemy w naszych bankach, spółkach, Rolnikach i t. d. Instytucye te nie są też wcale pomyślane jako urządzenia polityczne, nie mogą zatem posady w nich służyć, jako wynagrodzenie za dobrą służbę polityczną. Przez to oczywiście nie ma być powiedziane, żeby dobra praca polityczna starającego się o posadę, miała być przeszkodą w uzyskaniu jej.

Z drugiej zaś strony przy całym szacunku, jaki mamy dla pracy zawodowej, nie twierdzimy, żeby ona tem samem zwalniała od pracy publicznej. Kto ma odpowiednie zdolności i czas powinien się jej oddawać, a już żadną miarą nie wolno się odsuwać od wypełnienia *obowiązków obywatelskich*. Nie może zaś tych obowiązków należycie wypełnić obywatel nieznający spraw publicznych. Zatem powinien się starać o odpowiednie wiadomości. Najpewniejsza ku temu droga wiedzie przez czytelnictwo i organizacyę. A więc uważamy za rzecz nieodzowną, by każdy dorosły człowiek czytał pilnie chociaż jedną gazetę i należał choć do jednego towarzystwa. Dopiero, gdy te warunki wszyscy bez wyjątku wypełnią, dopiero wtenczas staniemy się społeczeństwem zupełnie dojrzałem i silnem. Takie społeczeństwo zaś i światłe i zorganizowane z łatwością wyda z siebie obfity zastęp działaczów publicznych, na brak których się tak słusznie dziś niestety skarżymy.

Jest atoli jeden rodzaj pracy publicznej, który każdy człowiek bez wielkich przygotowań i bez straty czasu uprawiać może. Jest nim: *rozprzestrzenianie czytelnictwa*. Twierdzimy, że każdy, kto nieczytającemu rodakowi zdoła wcisnąć do ręki książkę, czasopismo lub gazetę polską, staje się tegoż rodaka dobrodziejem i przysługuje się równocześnie całemu społeczeństwu. Że tak jest, nie ma co długo dowodzić. Zatem bierzmy się do dzieła! Mamy wielki zastęp pism polskich, więc agitacya nie trudna. Agitujmy także pilnie za „Posłem do ludu polskiego," który ma się stać podwaliną lepszej organizacyi politycznej naszego społeczeństwa.

Kochany Czytelniku, jak inaczej byłoby z nami w Prusach, gdyby *wszyscy* rodacy nasi mieli tyle oświaty, co każdy starszy czytelnik naszych pism polskich i ile by to można zrobić, gdybyśmy tylko naprawdę potrafili chcieć!

Nauczmy się tego.



Wolne Głosy.

W tej rubryce pomieszczamy artykuły, pochodzące z kół czytelników, chociażby się z zapatrywaniem redakcyi nie zgadzały. Przyjmujemy za nie tylko odpowiedzialność prasowoprawną. Dla porządku zaznaczamy, że artykuł zatytułowany: „Początek końca", a umieszczony w ostatnim numerze naszego pisma, był pióra tegoż samego autora, co poniżej zamieszczony.

Kto weźmie spadek?

Wobec rozkładu wewnętrznego w stronnictwie narodowo-demokratycznem w Królestwie i coraz gwałtowniejszych zaczepek zewnętrznych, dni jego są policzone. Nie zniknie ono oczywiście zupełnie z powierzchni, jak nie znikli w Niemczech liberali narodowi, ale czas, w którym tylu oświad-

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

77 Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

4. Rok 1848.

Był to szczególnie ważny i pamiętny rok, w którym wybuchły powstania narodów z całą siłą, pomimo ucisku i prześladowania despotycznych rządów. Pierwsze powstały Włochy, dążące do złączenia rozerwanych części, a dążność tę popierał wielki patryota włoski hrabia Mastai Ferreti, jako papież Pius IX. W Paryżu wybuchła przeciwko królowi Ludwikowi Filipowi rewolucya lutowa (27 lutego), za jej przykładem nastąpiły wybuchy w innych państwach. Wśród wielkiego ożywienia ludzie i narody całe bratać się między sobą poczęły i wszędzie słychać było głosy:

— Wszyscyśmy równi i bracia, niema nieprzyjaźni pomiędzy narodami!

Gdzie zaś walczono za wolność, tam zaraz zjawiali się Polacy, a wieszcz nasz Adam Mickiewicz podążył do Rzymu i papieżowi Piusowi IX przedstawił sprawę Polski. Utworzył on tu legion wojska, jako zawiązek przyszłej armii polskiej, pod dowództwem pułkownika Mikołaja Kamieńskiego. Z wyjątkiem Rosyi i ziem polskich, pod srogim rządem tego państwa będących, wybuchły rewolucye wszędzie: w Niemczech, w Prusiech i w Austryi, w Poznańskiem i w Galicyi[1]).

a. W Poznańskiem.

Dnia 18 marca 1848 r. wybuchła rewolucya w Berlinie. Król Fryderyk Wilhelm IV, z usposobienia łagodny i dla Polaków dość względny, zmuszony przez lud, dał amnestyę dla więźniów polskich z r. 1846 i kazał im otworzyć wrota więzienia Moabitu[2]). Radosne okrzyki rozlegały się po ulicach Berlina, lud, wyprowadziwszy z więzienia Karola Libelta i Ludwika Mierosławskiego, wyprzągł konie z powozu i własnemi rękoma obwoził ich po mieście, wołając przy tem:

— Niech żyje wolność! Niech żyje braterstwo! Do zamku, aby królowi podziękować za amnestyę!... Zeszła jutrzenka swobody, znikła niewola, kochajmy się, bo przez miłość odradza się ludzkość!... Chcemy wojny z Rosyą, bo to jest najstraszliwszy wróg wolności, to jest główny przedstawiciel despotyzmu!

[1]) Lewicki, 481. — Nawet konserwatyści polscy w Paryżu jednoczyli się z powszechną rewolucyą i wydali odezwę, podpisaną (26. maja) przez Ad. Czartoryskiego, Tyszkiewicza, Olizara i innych, w której wołali: — „Sprawa nasza, sprawa to wolności, *Wolności Powszechnej*, której my rycerstwem i sprzymierzeńcami z dziadów i pradziadów. Wolność powszechna odbyć musi niebawem swój krwawy chrzest. Nad Wisłą gdzieś, Dnieprem i Dźwiną oberwie się burza — ostatnia burza europejska — po której wiekotrwała pogoda i wszystkie błogosławieństwa pokoju!" — Limanowski, 317, 318.

[2]) Moabit, pruska wieś pod samym Berlinem nad Spreą, z wielkiem więzieniem systemu celkowego. Są tam słynne fabryki i liczne zakłady przemysłowe.

czało się za niem, że rościło sobie pretensye obejmowania całego narodu, że utożsamiało się z całym narodem, wkrótce będzie należeć do bezpowrotnej przeszłości.

W Niemczech zresztą widzimy analogiczny rozwój stosunków. Po ustaleniu cesarstwa większość w smutnej pamięci kulturkaempferskim parlamencie narodowi liberałowie posiadali. Przy wyborach w r. 1903 — ostatnich niepodobna wziąć w rachubę, bo stronnictwa blokowe zawarły kompromis przed wyborami, a więc liczba głosów nie świadczy o sile stronnictwa — przy wyborach z r. 1903 więc zdobyli tylko 12 mandatów w ogólnych a do liczby 40, której dosięgli, dopomogły im tylko umowy przy ściślejszych wyborach. Narodowi demokraci lubią wskazywać na przykład Prus i Niemiec. Nie powinni więc się dziwić, że i ich spotka los podobny. Tylko że rozwój u nas daleko prędszy. Na co Niemcy potrzebowali lat 30, tego my dokonujemy w 5 latach. Tłumaczy się to najprzód zmienionemi stosunkami i postępem gospodarczym a potem także kompletnym brakiem zmysłu politycznego i wolnościowego u Niemców, który i w tem można oglądać, że niema zupełnie stronnictwa niemieckiego usposobionego naprawdę wolnościowo.

W Niemczech spadek po narodowym liberaliźmie wzięli katolicy i socyaliści. W Królestwie oprócz narodowych demokratów trzy istnieją wybitniejsze grupy, które podziela się wpływem.

Najprzód socyaliści. Siły rzeczywistej socyalistów, rozdzielonych dziś na trzy zwalczające się nawzajem grupy: Polską partyę socyalistyczną rewolucyjną, Polską partyę socyalistyczną lewicę, (PPS.) i Socyal-Demokracyę Królestwa Polskiego i Litwy (S. D.), nie znamy. Zdaje się jednak, że po chwilowem oszołomieniu rewolucyą liczba ich zwolenników spadła znacznie. Przynajmniej przy ostatnich wyborach do Dumy w Łodzi, głównej siedzibie socyalizmu, wszędzie odnosili nad niemi zwycięstwo narodowcy; w Warszawie za to poszczęściło socyalistom się lepiej. Jak będzie w przyszłości, trudno powiedzieć. Zdaje się jednak, że w miarę rozkładu związków narodowych, pozostających pod patronatem endeków, pewna ich część, skrajnie usposobiona i pozbawiona wiary, przejdzie do socyalistów. Mniej prawdopodobne wydają się sukcesy ich pośród ludu wiejskiego, czy to gospodarzy czy to robotników rolnych, bądź co bądź usposobionych bardzo religijnie. Jeżeli socyaliści mogą więc na jaki taki zysk liczyć wśród robotników przemysłowych i tam pewien — niewielki prawdopodobnie — legat otrzymać w spadku, to wśród inteligencyi większe sukcesy odniosą postępowcy. W obecnej chwili dzielą się oni na dwie główne grupy: Polską partyę postępową (PPP.) i związek postępowo-demokratyczny (Z. P. D.), i kilka pomniejszych. Mianowicie pedecy odznaczają się wielkiem przesiąknięciem żydostwem i niechęcią do Kościoła. Przyjmą więc te żywioły niegdyś endeckie, które odznaczają się bezwyznaniowością a nie celują szowinizmem, podobnie jak z narodowych liberałów wytworzyli się z czasem wolnomyślni. Zdaje się jednak, że daleko większe sukcesy odniosą wśród nich umiarkowani i bardziej rasowo-polscy.

Na pół postępowy, na pół chrześciański charakter noszą ludowcy. Przeciwko endekom pedecy już dawno próbowali zorganizować lud wiejski, mianowicie gospodarzy w stronnictwo podobne do ludowców galicyjskich o programie agrarno-klasowym i haśle: Chłopi wybierajcie chłopa“. Obecnie ta grupa wzmocniła się przez przystąpienie pewnej części demokracyi chrześciańskiej, a zasilają ją coraz włościanie niezadowoleni z endecyi. Ludowcy ci, zdaje się, nie będą mogli poszczycić się takiemi sukcesami jak galicyjscy, a to dlatego, że o ile tamci nie mieli przy słabości organizacyi katolickiej, spół-

---

Gdy wywołany z zamku król ujrzał więźniów polskich wśród ożywionego ludu, odkrył głowę i powitał ich okrzykiem:

— Niech żyje Polska![1])

Rewolucya berlińska była narodową i patryotyzm niemiecki ogarnął naród cały, a król, jako tego narodu członek, ogłosił dnia 21 marca:

— Uważam państwo moje za rozwiązane i wnikłe do Rzeszy niemieckiej, nie zabraniam jednak, ażeby te prowincye, które do Rzeszy należeć nie chcą, pozostały dla siebie oddzielnemi![2])

Dalsze rozporządzenie brzmiało:

— Sformowane zostanie wojsko polskie, które, jako przednia straż armii niemieckiej, podąży przeciwko Rosyi, gdy wzniecone zostanie w innych polskich dzielnicach powstanie!

I tą wojną rosyjską przejęty był naród niemiecki wraz z narodem polskim. Nawet generał Willisen układał się z Polakami co do tej wojny, zażądał, aby wezwano do Poznania ze służby belgijskiej generała Kruszewskiego, sam chciał wezwać Skrzyneckiego, naradzał się z Mierosławskim, a z Chrzanowskim układał plan kampanii rosyjskiej[3]).

Podobne jak w Berlinie manifestacye urządziła ludność w Poznaniu (20 marca), gdzie obok rządu pruskiego utworzył się polski komitet, jako władza narodowa obejmująca Polskę całą. Należeli do niego: adwokat Krauthofer czyli Krotowski, Jędrzej Moraczewski, Karol Libelt, Stefański, Essman, Słomczewski, Jan Palacz, Andrzejewski, Maciej hr. Mielżyński, Chosłowski, Szuman Leon, ks. Janiszewski, ks. Prusinowski, Jarochowski[4]). Ruszyli się wodzowie polscy, generał Kruszewski, Mierosławski i inni po kraju i stanęli na czele utworzonych przez siebie oddziałów wojskowych w okolicach Trzemeszna, Pleszewa i Środy[5]). Z radością i zapałem, a z własnej ochoty spieszyli pod broń polscy wieśniacy, ruch nadzwyczajny ogarnął całą Wielkopolskę, także Prusy Zachodnie czyli Królewskie, a od wsi do wsi i przez miasta polskie biegły ożywione słowa błogiej nadziei:

— Rodacy, spieszmy się, gotują się wielkie wypadki, może Bóg da, że wróci nam Ojczyzna droga!

Lecz zatrzęśli się, z gniewu i oburzenia, na chwilę oszołomieni, rządowi Niemcy, a poparli ich, głównie prze-

[1]) Limanowski, 296.

[2]) Sokołowski, IV, 1790. Na sejmie pruskim (dnia 2. kwietnia) wyrzekli Niemcy w adresie do tronu następujące słowa, godne odczytania,

— Niemcy, mając mocne *postanowienie strzeżenia własnej narodowości, chcą sprawiedliwości dla wszystkich* i dlatego z radością *witają rozkaz J. Król. Mości, zapowiadający W. Ks. Poznańskiemu reorganizacyą narodową!* — Sokołowski, IV, 1799.

[3]) Ogłosili wtedy Niemcy Księstwa Poznańskiego odezwę z wyrażeniem najwyższej dla Polaków życzliwości.

— Więzienia rozwarły się, — czytamy tam — a wasi więzami skrępowani bracia, przez naszych braci uwolnionymi zostali. Wy to uznajecie i podajecie nam braterską prawicę. Bracia! my ją przyjmujemy, a za naszym przykładem pójdzie cały wolny lud niemiecki, który już zniweczył przymierza monarchów z barbarzyństwem azyatyckiem i teraz gotów jest stawić swoją chorągiew czerwoną i czarną ze złotem obok waszej w walce światła przeciw ciemnocie! — Sokołowski, IV, 1792.

[4]) Limanowski, 812.

[5]) Trzemeszno, na wschód od Gniezna; Pleszew, blisko Kalisza w zachodniej stronie; Środa, w pobliżu Poznania w stronie wschodnio-południowej.

zawodnictwa poważnego, o tyle w Królestwie ruch katolicki społeczny bije żywem tętnem. Zresztą prawdopodobnie jak galicyjscy prędzej czy później porozumieją się z żywiołami katolicko-agrarnemi, od których dzieli ich chyba patronat pedecki w chwili obecnej.

Lwią część spadku wezmą, uniwersalnym spadkobiercą po endekach będą żywioły katolicko-konserwatywne. Dotychczas posiadają trzy organizacye: dwie społeczne prawy „Związek katolicki“ i lewą „Demokracyę chrześciańską,“ oraz jedną polityczną „Stronnictwo polityki realnej“ (S. P. K.) Ani Związek katolicki ani Demokracya chrześciańska nie występowała czynnie w polityce. Obie grupy znajdują się dopiero w stanie organizacyi. Za to realiści przedstawiają stronnictwo wyłącznie polityczne i to do tego stopnia, że wobec rozbieżności zapatrywań społecznych do programu nie włączono bynajmniej polityki społecznej. W chwili obecnej realiści mają jedynie zwolenników wśród inteligencyi wiejskiej i miejskiej — podobnie jak postępowcy — i wśród duchowieństwa mianowicie wyższego, organizacye społeczne katolickie zaś wśród ludu i tak samo pośród właścian jak robotników przemysłowych. Oczywiście powodzenie akcya katolicka może mieć tylko wtedy, jeżeli te 3 grupy się połączą i za program polityczny wezmą „credo“ realistów, za społeczny zasady chrześciańsko-katolickie. Jeżeli w ce... niemieckiem znachodzą się przemysłowcy, właściciele ziemscy i duchowieństwo w najlepszej zgodzie, zupełnie nie widzimy powodu, dlaczegoby to co powiodło się w Niemczech, w Austryi lub Belgii, nie miało udać się w Królestwie. Mówi się często, że interesy różnych warstw społecznych zbyt rozbieżne, aby można pogodzić je z sobą. Cement atoli wśród nich stanowią zasady katolickie. Rzecz prosta, że swych dążeń samolubnych zrzec się musi każda klasa w takim układzie. Ani program socyalistów, dążących do panowania proletaryatu, ani demagogiczne hasło endeków, aby „podporządkować wszystkie interesa interesom ludu“ nie może być łącznością dla całego społeczeństwa, ale może być nią zasada chrześciańska miłości i sprawiedliwości, równouprawnienia dla rolników i przemysłowców, robotników i pracodawców, inteligencyi świeckiej i duchownej, miejskiej i wiejskiej.

Masa społeczeństwa polskiego w Królestwie opiera się na wierze i wyznaje zasady religijne, lud mianowicie. Niestety brak mu dotychczas było należytego uświadomienia. Dlatego to udało się zawładnąć nim. Ale z chwilą przebudzenia się w nim zasad katolickich odwraca się od dotychczasowych przywódców. Widzą endecy, że usuwa im się z pod nóg ziemia. Więc starają się lud zatrzymać przy sobie, udaremnić wpływ katolicki i odciągnąć ludność od organizacyi katolickich. Używają do tego dwóch mianowicie sposobów.

Najprzód tłumaczą, że Związki katolickie wnoszą niepotrzebnie walkę wyznaniową do kraju, że są zbyteczne, bo niepotrzebne, bo lud przecież i tak katolicki, że zrażają wielu ludzi do Kościoła, że szkodliwe są samemu Kościołowi itp. Wszystko to oklepane frazesy, któremi już dawno operowali różni liberali, jak i to klasyczne iście twierdzenie, że należy rozróżniać między Kościołem a „wojującym katolicyzmem. Niemcy mówią „między katolicyzmem a ultramonizmem“. Bezsensowność tych frazesów wykazano już nieskończenie często. Doprawdy nie wysoko trzeba cenić snać rozum społeczeństwa polskiego mniemając, że da się zbałamucić takim wytartym liczmanem.

To jeden sposób, a drugi to wnoszenie nieufności i niezgody pomiędzy katolików. Co po chwila spotyka się twierdzenie, że pod pokrywką katolicyzmu starają się wybić kapitał dla pewnego stronnictwa. Mowa tu o rea-

---

ciwko Polakom występujący, niewdzięczni żydzi poznańscy[1]).

— Jest komitet polski, niechaj będzie i niemiecki — wołali do Niemców — jest polska część Wielkopolski, czemu niema być i niemieckiej części Wielkopolski?!

I utworzył się zaraz komitet niemiecki, a rząd pruski oparty na nim odzyskał swą władzę, pościągał swe wojska i wystąpił groźnie. Ruchome kolumny generała Colomba rozbiegły się po kraju, aby spełnić rozkaz, który brzmiał:

— Powstrzymywać zbrojenie się ludu wiejskiego!

Pod obozy polskie podstąpił na czele przeważających sił tenże sam generał Willisen, niedawno z Polakami układający wspólnie kampanię rosyjską, i zmusił Mierosławskiego do zawarcia ugody w Jarosławicach (12 kwietnia)[2]). Na mocy tejże został rozpuszczony lud zbrojny, a pod bronią pozostało tylko 5,000 ludzi t. j. 4 bataliony piechoty i 4 szwadrony jazdy, rozłożone we Wrześni, w Książu, w Pleszewie i Miłosławiu[3]). Oddziały te wprawdzie pod chorągwiami polskiemi i z komendą polską, były jednak tylko kadrami[4]) pruskiemi poznańskiej dywizyi i stały pod głównym dozorem oficera pruskiego (11 kwietnia 1848 r.).

Ale rząd nie skończył na tem, zamyślał bowiem stłumić zupełnie ruch polski. Umyślnie występowało teraz wojsko pruskie wyzywająco wobec polskiego, a ruchome kolumny pruskie dopuszczały się największych po kraju gwałtów. W Poznaniu napadnięty został przez żołnierzy pruskich Szuman, naczelnik polskiej legii akademickiej. Dnia 19 kwietnia nastąpiło krwawe starcie z wojskiem w Gostyniu, wojsko pruskie strzelało do bezbronnej ludności w Koźminie i Odolanowie[5]). W Słupcach zastrzelono obywatela Stan. Sadowskiego w oczach matki i siostry; na publicznej drodze pod Żninem — Wiktora Potockiego; pod Strzelnem — dzierżawcę Brodzkiego; pod Łabiszynem[6]) huzary zarąbały na śmierć trzech ochotników z Królestwa. W Bydgoszczy i w Lesznie pozdzierano polskie kokardy. Prześladowali Polaków Niemcy, komisarze i urzędnicy, wytrwale popierani przez żydów wielkopolskich, a po wsiach chcieli nawet powtórzyć ohydną krwawą zbrodnię galicyjską, zachęcając i wzywając lud:

— Powinniście wyrznąć szlachtę polską! (C. d. n.)

---

[1]) Jakkolwiek między żydami byli ludzie rozumni i prawi obywatele, stojący godnie pod sztandarem narodowym, to jednak ogromna masa żydostwa, według historyka niemieckiego Treitschkego (Deutsche Geschichte, V, 630), nie była czem innem jak „szumowinami społeczeństwa, zbiorowiskiem lichwiarzy, złodziei i oszustów, kupą wszelakiego śmiecia, nagromadzonego w historyi polskiej.“ — Sokołowski, IV, 1793.

[2]) Jarosławice pod Środą.

[3]) Września, na wschód od Poznania, Książ i Miłosław, we wschodnio-połudn. stronie od Poznania, pierwszy z lewej, drugi z prawej strony Warty

[4]) Kadry, z franc., ramy, dla pułków, zapełniających się w czasie wojny szeregowcami rozpuszczanymi w czasie pokoju. Czyli jest to pewna ilość oficerów, doboszy, trębaczy i t. d. niezbędna do utworzenia oddziału wojskowego.

[5]) Gostyń, miasto powiatowe w W. Ks. Poznańskiem, nad rz. Strugą błotną; Koźmin, miasto nad rzeką Orlą, w W. Ks. Poznańskiem; Odolanów, miasto w W. Ks. Poznańskiem, w pow. odolanowskiem nad rz. Barycz (Niemcy nazwali je: Adelnau.)

[6]) Żnin, miasteczko w W. Ks. Poznańskiem, pow. szubińskim, nad jeziorami tej nazwy; Strzelno, miasto w W. Ks. Poznańskiem; Łabiszyn, miasto w W. Ks. Poznańskiem, regencyi Bydgoskiej, pow. szubińskim.

listach. Realiści podjęli myśl polityczną Wielopolskiego upatrującego przyszłość dla Polski w zgodzie z Rosyą. To wyrobiło im opinię „ugodowców“ w oczach szowinistów, którzy nawiasem mówiąc uważali, że trzeba nam Polakom popierać trójprzymierze. Od czasu ruchu wolnościowego jednak na tem okrzyczanem za zdradę i brak godności narodowej stanowisku zgody z Rosyą szczerze czy nieszczerze wszystkie stanęły stronnictwa polskie, nie wyłączając najskrajniejszych endeków. Dzisiaj program realistów różni się od endeckiego, pod względem ściśle politycznym chyba redakcyą — oczywiście nie uważają realiści Kościoła za instytucyę narodową w zakresie kościelno-politycznym a w dziedzinie społecznej oświadczają się stanowczo przeciwko przymusowemu wywłaszczaniu popieranemu swego czasu w Rosyi przez narodowych demokratów. To też Grażewski zarzuca Dmowskiemu i jego adherentom, że sprzeniewierzyli się zasadom „narodowym“ i przyjęli realistyczne. Z tej cechy „ugodowej“ realistów endecy korzystają, celem wbicia klina między katolików, celem zapobieżenia połączeniu się w ich jedno stronnictwo silne i zdolne pokierować krajem w duchu katolickim rozumnego postępu na wzór Belgii lub Bawaryi. Czy im się powiedzie ta robota, nie wiadomo. Nastąpiłoby w takim razie rozbicie katolików, z których osobno znaleźliby się oficerowie, a osobno armia. A ciału bez głowy nasadziliby swoją endecy.

Łączność między katolikami na razie to „unia personalna“. Wybitni realiści należą do Związku katolickiego. Miejmy nadzieję, że na połączenie się grup niedługo będziemy czekać.

K.

* * *

Uwagi o wychodźtwie.

Detroit (Północna Ameryka), w lutym 1908.

Od pewnego czasu znachodzi się w gazetach krajowych i amerykańskich, nietylko polskich, ale i angielskich i niemieckich nawet dużo artykułów o głośnym projekcie antypolskim w Prusach — o wywłaszczeniu. Jedni piszą, że już uchwalono tę ustawę, inni podają bliższe szczegóły. Ze wszech stron świata podnoszą się protesty, uczeni odpowiadają na ankietę Sienkiewicza, lecz o ile nam znany hakatyzm pruski, należy się obawiać, że wywłaszczenie przejdzie. Wobec tego nasuwa się mimowoli pytanie, co uczynią nasi wywłaszczeni gospodarze?

Obawiać się należy, że rozbudzi się gorączka emigracyjna, że dużo ludzi zwróci się do Ameryki, aby tu stworzyć sobie stałą siedzibę. Nie zachęcało się nigdy rodaków do emigracyi, owszem potępiano ją, ale nie mowa tu o tych, którzy lekkomyślnie porzucają ojczyznę, lecz o tych, których nacisk stosunków spowodował do porzucenia ojczystego kraju. Może niejeden z wywłaszczonych będzie się musiał puścić za ocean.

Do Stanów Zjednoczonych jednak nie miałby się po co udawać, bo najlepsze ziemie już rozkolonizowane, a i obecne stosunki finansowe nie są tu po temu, aby módz z mniejszą sumą coś rozpocząć i chwilowo nie zanosi się wcale na polepszenie. Dlatego skierowałaby się zapewno emigracya do Kanady i Brazylii. Lecz co o tem mówić?

Otóż ks. Cezary Wyszyński, proboszcz w Rio Vermelho, w stanie św. Katarzyny w Brazylii, po przejeździe swym po Północnej Ameryce wydał dla Polaków tutejszych broszurę, w której przedstawia tutejszym rodakom swe projekta, jakby w sposób najskuteczniejszy przyjść z pomocą naszemu narodowi i przygotować powoli drogę do uzyskania pewnej niezależności państwowej w Ameryce. Wielebny autor, jako proboszcz w Brazylii, zna takowa z życia i osobistego doświadczenia, a podróżując oddawna po Ameryce Północnej, poznał także i tutejsze stosunki. Słowa, które wypowiada tutejszej Polonii, zachęcając ją do opuszczenia tutejszych siedzib i udawania się do Ameryki Południowej, mogą być także zastosowane i do rodaków w kraju, których jednak do emigracyi nie zachęcam.

Główny projekt ks. Wyszyńskiego jest ten, aby skierować emigracyę polską do takiego kraju, który przedstawia dogodne warunki dla emigrantów, a nie jest bardzo zaludniony. Tam możnaby stworzyć w ciągu kilku lat silną większość polską, któraby doszła w sposób naturalny do wybitnego i przeważającego wpływu na rząd.

Pomiędzy innemi pisze autor, że ekonomiczne położenie Polaków w Stanach Zjednoczonych jest zupełnie zadowalającem, a w porównaniu ze Starym Krajem wprost świetnem, tak że pod tym względem nic nie pozostaje do życzenia. Ogół Polaków ma się dobrze, nie mówiąc o obecnych, lecz może tylko chwilowych stosunkach. Wielu dorobiło się znacznego majątku, chociaż ludzi bogatych — w amerykańskiem tego słowa znaczeniu — jest chyba niewielu.

„Ale cóż z tego wszystkiego“ — pisze autor — „kiedy Wam tu grozi największe niebezpieczeństwo, jakie może spotkać naród, t. j. *wynarodowienie*. I to nie wskutek prześladowania ze strony rządu lub społeczeństwa amerykańskiego, ale ze samej natury rzeczy, pod wpływem okoliczności, a po części i z niedbalstwa ludzi“.

Zdanie powyższe jest najzupełniej uzasadnione. Ci, co przyjechali ze Starego Kraju, mówią dobrze po polsku. Ich dzieci już wolą język angielski, chociaż po polsku mówią jeszcze. Tych już dzieci z małymi wyjątkami wcale nie będą rozumiały mowy swych ojców.

Kroniki waszyngtońskie stwierdzają, że Polacy przybywali do Ameryki już w wieku 16 i 17. Niektóre zamerykanizowane rodziny, noszące tylko nazwisko polskie, jak n. p. Zborowscy, pochodzą od owych wychodźców. W wieku 18 poszło wielu Polaków po nieszczęsnych rozbiorach Polski z rozpaczy do Ameryki. Tu spotkali ich Kościuszko i Pułaski i zaciągli pod sztandary swe, by walczyć o wolność dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Na początku 19-go wieku wysłała Francya cały legion polskich żołnierzy na wyspę San Domingo, by uspokoić powstańców, chcących się wyzwolić z pod jarzma francuskiego. Ci, którzy nie zginęli w potyczkach i nie pomarli na żółtą febrę, dostali się na stały ląd Ameryki. Po powstaniu w roku 1830/31 przybyło do Stanów Zjednoczonych kilka set polskich emigrantów. Otóż wszyscy ci wynarodowili się, a dzieci ich są już w całem tego słowa znaczeniu Amerykanami, niemówiącymi, nierozumiejącymi i nieczującymi po polsku. Tylko ich polskie nazwiska, o ile ich się nie wyparli, świadczą, że pochodzą z polskich rodziców. Druga emigracya zaczęła przybywać po roku 1848, lecz i po niej pozostały zaledwo tylko ślady. Najliczniejszy napływ Polaków był po powstaniu z roku 1863, ale i z tych weteranów pozostały tylko nieliczne jednostki, a większość prawie zupełnie wynarodowiła się.

Dziś mówimy wprawdzie o Polonii amerykańskiej, liczącej blisko trzy miliony dusz, lecz mamy to do zawdzięczenia głównie chłopu polskiemu, który wierzył, że jest Bóg na niebie, że Kościół katolicki jest założony przez Chrystusa Pana, i że prędzej czy później będzie wymierzona, podobnie jak każdemu człowiekowi, tak i narodom, sprawiedliwość przypadnie i Polakom w udziale. Ten chłopek polski nie przestał i tu chwalić Boga po polsku, i dlatego własnym, krwawo zapracowanym groszem sta-

wiał świątynie i szkoły. Więc wiara, jaką ten lud wyniósł z Ojczyzny, uchroniła go od wynarodowienia, od wynarodowienia uchronił go Kościół katolicki, Duchowieństwo. Ale niestety, ilu jednak i dziś znajdzie się takich, dla których wyraz Polska bywa niejako postrachem i dlatego nie dbają o wychowanie dzieci, lecz cieszą się, gdy te nienawidzą wszystko co polskie, i już bez wszelkiej zachęty lgną do angielszczyzny i stoją się największymi szowinistami amerykańskimi!

Otóż właśnie w ten sposób ginie wielu, może właśnie z powodu dobrobytu i braku prześladowania, na zawsze dlo naszej narodowości.

O stanowisku politycznem tutejszych Rodaków pisze ks. Wyszyński: „Wyobraźmy sobie, że Wam przy wielkiem czuwaniu i wysiłku, uda się zostać tem, czem jesteście — Polakami; że nietylko Wy, ale nawet wnuki wasze nie utracą ani polskiej mowy, ani polskiej duszy. Czy pomimo to możecie w tym kraju mieć jaki znaczniejszy wpływ na politykę — rozumiem na politykę międzynarodową, nie zaś drobną, miejscową? Oczywiście żadnego. Dotychczas, pomimo, że jest Was tu przeszło dwa miliony (może trzy), nie macie ani jednego przedstawiciela w rządzie Waszyngtońskim — ani jednego posła do kongresu, ani jednego senatora! Ale gdybyście nawet mieli kilku i jednych i drugich — czyżby oni mogli mieć jaki decydujący wpływ? Oczywiście, że nie. Bo, co prawda, co znaczą Wasze dwa miliony — na osiemdziesiąt blisko milionów innych Amerykanów? Jeden Polak na czterdziestu innych!“

Czytelnik „Pracy“.

(Dokończenie nastąpi.)



Tydzień polityczny.

W chwili, gdy te słowa kreślimy, **sprawa wywłaszczenia** tworzy przedmiot dyskusyi w plenum izby Panów. Ze względu, że czytelnik już przed odebraniem niniejszego numeru „Pracy“ dowie się o wyniku tych obrad, nie ma powodu stawiać jakichkolwiek horoskopów. Nie od rzeczy wszakże będzie nadmienić, że jeszcze w ostatniej chwili bardzo poważne głosy przeciwne nowej ustawie antypolskiej odezwały się po stronie niemieckiej. Szczególniejsze znaczenie ma tu głos konserwatywnej „Kreuzztg.“, która na skutek ograniczeń, jakich projekt doznał w komisyi izby panów, radzi rządowi, aby w ostatniej chwili cofnął z własnej woli projekt wywłaszczenia i tłumaczy mu, że krok taki nie zaszkodziłby powadze rządu ani w kraju, ani u zagranicy. Również naczelny organ wolnomyślnych „Freis. Ztg.“ radzi rządowi cofnąć projekt antypolski, a „Köln. V. Ztg.“, zaznaczając, że trudno jej wierzyć, aby to rząd uczynił, oświadcza, że byłoby zasługą ze strony króla, gdyby zechciał oświadczyć się przeciw ustawie, mającej wytworzyć tak wielką nierówność pomiędzy obywatelami jednego i tego samego państwa, poddanymi jednemu berłu. Z drugiej strony prasa hakatystyczna wytęża wszystkie siły, aby sterroryzować izbę panów i nakłonić ją do odrzucenia ograniczeń, uchwalonych w komisyi. Ideałem tej prasy jest niezmieniony projekt rządowy, dopuszczalnym: projekt przyjęty przez izbę posłów. Wszelkie dalsze ustępstwa są wedle hakatystów najwyższego potępienia godne, gdyż całą ustawę pozbawiają wartości.

Tyle jest pewna, że rzadko kiedy, a może nigdy jeszcze nie przedłożył jakikolwiek rząd któremukolwiek parlamentowi projektu równie niepopularnego, jak obecny. Śmiało można powiedzieć, że tylko mała bardzo cząstka Prusaków opowiada się za nim przychylnie, a i tam jeszcze większość olbrzymia z „ciężkiem sercem.“ Oby sumienie zwyciężyło!

Od kilku dni cieszą się Niemcy posiadaniem nowego sekretarza skarbowości w osobie p. **Sydow**. Jest on ósmym z rzędu ministrem, piastującym ważną tekę finansów rzeszy. Ma on naprawić to, co jego 7 poprzedników nabroiło, tj. wynaleść sposób, aby rzesza mogła wybrnąć z olbrzymich długów, które dobiegają sumy 4 miliardów marek. Pan Sydow ma być dobrym urzędnikiem administracyjnym, czy będzie także wielkim mężem stanu — przyszłość pokazać musi. Nie można powiedzieć, aby prasa niemiecka nadzwyczajne w nim pokładała zaufanie.

W Rosyi jak z jednej strony reakcya coraz śmielej podnosi głowę, tak z drugiej znów przygotowania do zamachów są na porządku dziennym. Ostatnio znów wykryto bandy spiskowców, przygotowujących zamachy na wielką skalę.

Mniejwięcej przed tygodniem zakończył się w Petersburgu proces o wydanie Portu Artura. Oskarżonymi byli jenerałowie Stessel, Fok, Reis i Smirnow.

Stessel uznany za winnego za to, że w dniu 2 stycznia 1904 r. poddał fortecę Portu Artura Japończykom, nie zużywszy wszystkich środków obrony, oraz za winnego nieczynności władzy. Fok uznany za winnego przestępstwa dyscyplinarnego. Stessel skazany na śmierć przez rozstrzelanie bez pozbawienia praw stanu. Fok skazany na naganę. Reis i Smirnow uniewinnieni.

Ze względu na to, że forteca oblężona od strony morza i lądu przez przeważające siły przeciwnika, pod kierunkiem Stessla wytrzymała niebywałą pod względem oporu w dziejach wojen obronę, że zadziwiła cały świat sławą swoich obrońców, że kilka szturmów odparto z wielkiemi stratami nieprzyjaciela, że przez cały czas oblężenia Stessel podtrzymywał ducha bohaterskiego obrońców fortecy, oraz ze względu na jego poprzednią służbę bojową i udział w trzech kampaniach, sąd postanowił prosić o złagodzenie kary Stessla na zamknięcie w fortecy na 10 lat, z usunięciem go ze służby i pozbawieniem rang.

We Włoszech również zakończył się sensacyjny proces przeciwko byłemu włoskiemu ministrowi oświaty Nasiemu.

Nasiego skazano na 11 miesięcy więzienia oraz na niezdolność piastowania urzędów publicznych przez 4 lata.

Sprawa Nasiego od 4 lat niepokoi Włochy. Poruszył ją pierwszy w izbie Saporito, zarzucając Nasiemu, że zdefraudował podczas swego urzędowania znaczne sumy. Śledztwo wykazało prawdę tego twierdzenia i wyrok wypadł niepomyślny dla obwinionego. Tymczasem w południowych Włochach ma Nasi wielu gorących zwolenników, którzy obecnie z powodu wyroku wszczynają hałaśliwe demonstracye przeciwrządowe. Miasto rodzinne Nasiego, Trapani, które dużo korzystało z szczodrobliwości Nasiego, gdy był jeszcze ministrem, szczególnie ostro się za swym ziomkiem opowiada. Również i w innych miastach, głównie w Sycylii, były rozruchy z powodu wyroku na Nasiego. Wszczęto także akcyę, celem uzyskania ułaskawienia królewskiego.

Ponieważ mowa o procesach, warto wspomnieć o sprawie **pani Dobrodzickiej.** Pani ta wykonała w Warszawie zamach bezskuteczny na jen. gub. Skałłona na ul. Natolińskiej. Zdołała ujść z Warszawy do Galicyi,

gdzie wyszła za mąż. Wskutek zamążpójścia za obywatela austryackiego stała się obywatelką austryacką.

Dla tego sprawa toczyła się przed sądem przysięgłych w Wadowicach. Pani Dobrodzicka przyznała, że miała zamiar zgładzić Skallona, a nawet, że zdawała sobie sprawę z tego, że skoro rzuci bombę prawdopodobnie i niewinni ludzie śmierć poniosą. Bomba jednak była źle skonstruowana, wskutek czego nikomu szkody nie uczyniła. Sąd przysięgłych jednomyślnie oskarżoną od winy i kary uwolnił, a publiczność obsypała kwiatami uwolnioną. Nie mamy zamiaru krytykować tego wyroku. Przypominamy jednak, że istnieje przykazanie Boże: nie zabijaj. Dla tego łagodność sądu wadowickiego wobec oskarżonej tu i owdzie wywołała szemranie, a w gazetach hakatystycznych sprosne napaści na całe sądownictwo galicyjskie.

W Marokku nieszczególnie się Francuzom powodzi. Były potyczki dla Francuzów nieszczęśliwe. Gazety francuskie stwierdzają, że Francya znajduje się w stanie otwartej wojny z Mulej Hafidem. Naród francuski jednak nie życzy sobie awantur kolonialnych i wciąż przez swych posłów wpływa na rząd, aby przestrzegano ściśle traktatów algeciraskich. Rząd prawdopodobnie nowe wojska wyśle do Marokka. Tymczasem Mulej Hafid wydaje odezwy do narodu i podnieca ruch antifrancuski u krajowców. Niektórzy duchowni marokańscy głoszą t. zw świętą wojnę i wzywają Mulej Hafida do ostrej akcyi przeciw Francuzom. Tłumaczą mu, że w razie, gdyby Francya zechciała Marokko podbić, natenczas Niemcy wypowiedzą Fracyi wojnę w Europie, Mulej Hafid zaś powinien się starać o podbicie Algeryi. Równocześnie nadchodzą wiadomości o działalności i rozbójników marokańskich. W potyczce pomiędzy rozbójnikami a spokojną ludnością marokańską w prowincyi Gharb padło 40 rabusiów. Z Madrytu zaś donoszą, że konsul hiszpański w Larasz obawia się o los zamieszkałych tam Europejczyków, wskutek czego rząd hiszpański wysłał na pomoc krażownik „Extremadura.“

Stany Północne Ameryki mają zamiar ufortyfikować stolicę wysp filipińskich Manilę. Roboty mają się rozpocząć w przyszłych tygodniach. Wyznaczono na nie dotychczas przeszło 25 milionów marek. Manila ma się stać najsilniejszą fortecą na dalekim Wschodzie. Nie potrzeba być filozofem, aby odgadnąć, że Amerykanie zabezpieczają się przeciw Japończom, gdyż przeczuwają, że niedaleki jest czas, gdzie wojna pomiędzy temi mocarstwami wybuchnie.

W Północnej Ameryce samej zaś toczy się walka wyborcza o wybór prezydenta.

Rok jeszcze czasu zanim do Białego domu w Waszyngtonie sprowadzi się nowy prezydent. Obydwaj kandydaci, demokratyczny, Wiliam Jennings Bryan, i republikański gubernator stanu New-York, Hughes, wypowiedzieli mowy programowe. Hughes łączy się z obecnym prezydentem Rooseveltem w walce przeciw trustom i żąda, zamiast dotychczasowych kar pieniężnych, nakładanych jako grzywny na korporacye trustowe, zastosowania ostrzejszych środków, mianowicie więzienia dla prezydentów i członków rad nadzorczych, oraz dyrektorów trustów. Nadto domaga się Hughes rewizyi taryfy celnej. Jeszcze ostrzej wystąpił przeciw niszczącym gospodarstwo społeczne w Unii trustom demokratyczny kandydat na prezydenta Mr. W. J. Bryan, który już dwa razy stawał w szranki wyborcze bezskutecznie. W ubiegłym tygodniu wypowiedział Bryan w Carnegie-Hall w New-Yorku wielką mowę przeciw spekulacyi giełdowej. Uderzył ostrzej od Roosevelta na trusty i na giełdę. Nowojorska giełda jest jaskinią zbójecką, mówił, wobec której Monte Carlo jest tylko niewinną zabawką. Na nowojorskiej giełdzie kształci się więcej oszustów i defraudantów, niż w szkole złodziei. Równocześnie domagał się Bryan reformy waluty i wprowadzenia waluty srebrnej. Na giełdach amerykańskich i na Wallstreet londyńskiej, wywołała mowa Bryona zaniepokojenie i obawy na przyszłość w razie gdyby jego kandydatura miała powodzenie.

Również i prezydent Roosewelt wystąpił z nowem orędziem, będącem ostrą filipiką przeciw giełdzie i trustom. Prezydent Roosevelt zapowiedział ostre środki represyjne przeciw grze dyferencyjnej na giełdzie i wystąpił wprost do walki z korupcyą ekonomiczną, która zagraża swobodnemu rozwojowi Unii. Przedewszystkiem uderzył Roosevelt na trust naftowy i jego prezesa Rockefellera, którego chce zamknąć w więzieniu.

Chrystusa poili żółcią i octem nieprzyjaciele; nas tem poją nasi przyjaciele.

* * *

Jedynym wiernym mężem był... Adam — przynajmniej w raju.



„Ach, któryż jestem żywy.“

Wesoły jestem, wesoły,
i śmieję się do łez;
choć jesień już na poły,
kwitnący czuję bez.

Wesoły jestem, jary,
choć idą czasy burz;
widzę z otuchą wiary
kwitnących ogród róż.

Wesoły jestem, świeży...
— cóż to na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch, jak ognia słup.

Wesoły jestem, młody,
już zbywam zbytnich piór,
już idę w krąg swobody,
już słyszę gwiezdny chór.

Już słyszę: biją dzwony
wysoko w niebios strop;
trup dawno pogrzebiony,
duch niesie pełny snop.

Ach, któryż jestem żywy:
czy ten, co leci wzwyż,
czy ten, co zmarł szczęśliwy,
ściskając w dłoni krzyż —?

Czy ten, co skrzydeł loty
przez żywot miał związane,
czy ten, co ciska groty,
o krzemień gwiazd krzesane —?

Czy ten, co legł przykryty
kirami i całunem,
czy ten, co mija szczyty
i drogę tnie piorunem —?

Czy ten, co legnie zmożon
przed świątyń własnym progiem,
czy ten, co niezatrwożon
na sąd ma stanąć z Bogiem —?

O, chcą ode mnie, chcą,
by hart był zawsze w sile,
by wciąż ich wzruszał łzą,
podniosą łzą na chwilę!

By hart był w dźwięku słów,
by jęk był peten siły,
by areszczem wstrząsnął znów
i żywych, i mogiły.

Lecz nie spostrzegli snadź
żem dość już chyba gadał,
by siłę chóru znać,
by chór mi odpowiadał.

Stanisław Wyspiański.





Ze wspomnień o Wyspiańskim.

Od czasu, który upłynął od śmierci wielkiego twórcy „Wyzwolenia", publikacye polskie przepełnione są więcej lub mniej wyczerpującymi szczegółami, dotyczącemi charakterystyki Stanisława Wyspiańskiego. To też powstała o Wyspiańskim już cała literatura, nowymi przyczynkami różnych osobistości i różnych piór wciąż wzbogacana i potęgowana.

Poniżej przytaczamy urywki z osobistych wrażeń i wspomnień, które drukuje w „N. Reformie" kuzyn i przyjaciel zmarłego, p. Zenon Parvi.

— — — — — — —

Nazajutrz po śmierci poety, w fejletonie „Czasu" ksiądz Pawelski z T. J. z ogromnem uczuciem i prawdą opisał ostatnie chwile Wyspiańskiego, przy którego łożu, jako spowiednik, spędził kilka kwadransów. Wyspiański umarł jak prawdziwy mąż, pełen wiary, z cierpliwością poddając się wyrokom Opatrzności. W życiu jego wiara była czemś świętem, czego nie pozwalał szargać, wolny od zewnętrznych form dewocyi, kultywował wiarę głęboko w swojem sercu. Wiadomem to było licznemu szeregowi jego kolegów i przyjaciół, którzy też nigdy wobec Wyspiańskiego nie poważyli się na najlżejsze nawet uchybienie w rozmowach na ten temat, tak samo jak ujarzmiani jego nadzwyczajną, wrodzoną delikatnością uczuć i obejścia, nigdy nie byli przy nim rubaszni, ani rozmowy nie kierowali na swawolne tory.

— — — — — — —

Bajecznej, wprost nadludzkiej pracowitości, Wyspiański, który nie znał poprostu, co to bezczynność choćby chwilowa, nie uchylał się od towarzystwa, a młodzieńcem jeszcze będąc, rad udzielał się zebraniom, zarówno w prywatnych kółkach, jak i ogólnych, publicznych, mile wszędzie witany dla zalet swego wytwornego, bez sztucznej elegancyi, obejścia.

Wątłej budowy ciała, gdy był jeszcze zdrów, Wyspiański posiadał jakąś nerwową siłę, a pełen zawsze męskiej odwagi, umiał dać sobie radę w każdej groźnej sytuacyi. Jako student 8 klasy odprowadzał pewnej zimowej nocy p. Matejkową (żonę mistrza Jana Matejki) z jednego zebrania towarzyskiego do domu. Na ulicy Floryańskiej Wyspiański i p. M. napadnięci zostali przez czterech pijanych wyrobników, a właściwie rzezimieszków. W wypadku takim należało szybko działać, to też Wyspiański na chwilę puścił ramię prowadzonej przez siebie p. M., ale ta chwila wystarczyła, aby napastnicy, ryjąc czołami bruki, znaleźli się po drugiej stronie ulicy. Wogóle szybkość decyzyi i natychmiastowe wykonanie powziętego planu, było cechą jego umysłu. I tem się tłómaczy ta olbrzymia obfitość dzieł, szczególniej malarskich, jakie wykonał w swem, tak krótkiem niestety, życiu. Czyn szedł u niego natychmiast za pomysłem.

Jeden z licznych faktów przytaczam poniżej. Wieczorem dnia 2 maja 1891 r., Wyspiański odwiedził mnie w mieszkaniu, które wówczas zajmowałem w rynku głównym, w kamienicy Mendelsburga. Było to w przeddzień uroczystości setnej rocznicy Konstytucyi 3-go Maja, uroczystości obchodzonej przez Kraków z ogromnym zapałem. Całe miasto, szczególnie Rynek, było wspaniale udekorowane flagami, zielenią i emblematami narodowymi, tylko okna mego mieszkania nie miały żadnej dekoracyi. Zauważył to Wyspiański, wziął kapelusz i wyszedł, lecz wrócił w niespełna pół godziny, niosąc własnoręcznie ogromny rulon kartonu, kupiony w handlu Fischera i kilka wodnych farb i pędzelków. Kartony przybił ćwieczkami do ściany, rozpuścił farby i kilkudziesięciu pociągnięciami pędzla wymalował na jednym kartonie wspaniałego, na czerwonem tle, Białego Orła, na drugim Pogoń, młodzieńca na spienionym rumaku, co mieczem, jak błyskawica, tnie niewidzialnego wroga. Kartony te wywieszone nazajutrz, w dzień święta narodowego, zniewalały tłumy przechodniów do zatrzymywania się, taka z nich biła oryginalność i rozmach.

— — — — — — — —

Po każdej wytężającej pracy, szukał wytchnienia... w pracy. Malując olbrzymie kartony: „Kazimierz Wielki", „Święty Stanisław" i „Henryk Pobożny", w wolnych chwilach, gdy zmęczył się rysowaniem, stojąc na schodkach u stropu, brał pióro i przy stole, w mieszkaniu przy placu Maryackim pisał: rapsody — komentarze do witraży i dramaty, od tego znowu zajęcia poświęcając wolne chwile na malowanie n. p. portretów i rozczytywanie się w dziełach źródłowych, historycznych i naukowych, potrzebnych mu w danej chwili do obranego tematu.

Największych dzieł dokonał w przedostatniem swem mieszkaniu przy ulicy Krowoderskiej nr. 157, gdzie pracownia jego z widokiem na kopiec Kościuszki, pracownia niebiesko malowana z długim dębowym stołem pokrytym pąsowem suknem, ściągała w odwiedziny licznych jego wielbicieli. W imieniny swoje, przypadające dnia 8 maja, Wyspiański werbował czasem chłopskich muzykantów, którzy w sąsiadującym z pracownią pokoju, grali od ucha ludowe utwory, grając także melodye, które im sam Wyspiański komponując, śpiewem nutę poddawał.

Bez sentymentalnej bowiem ckliwości i teatralnego liryzmu Wyspiański kochał lud i polską wieś, niemal tak gorąco, jak i rodzinne swoje miasto, Kraków.

— — — — — — — —

Drobiazgowym ani pedantem Wyspiański nigdy nie był, był jednak ścisły w szczegółach swoich artystycznych informacyi, jakich udzielał co do dzieł, mających być granemi na scenie. W czerwcu roku 1904, bawiąc we Lwowie odwiedziłem Wyspiańskiego, który mieszkając w Hotelu Europejskim zajęty był budowaniem z kartonu całkowitej, w najdrobniejszych szczegółach sceny, takiej jaką miała być w teatrze lwowskim dla wystawienia „Legendy". W klejeniu tej sceny, wycinaniu dekoracyi papierowych i papierowych osób, pomocnym był Wyspiańskiemu jego kolega szkolny i przyjaciel dr. Stanisław Eliasz-Radzikowski i p. Ludwik Solski, ówczesny reżyser sceny lwowskiej.

„Legenda" jednak na scenie lwowskiej powodzenia nie doznała, co autor przyjął ze spokojem, tak jak ze skromnością przyjmował największe sukcesy swoich dzieł na scenie krakowskiej n. p. sukces „Wesela". „Wyzwolenia" i „Bolesława Śmiałego", tak jak przyjmował z politowaniem i uśmiechem parafrazy i parodye swoich dzieł, któremi chcieli mu dokuczyć różni krakowscy pseudo-satyrycy.

— — — — — — — —

Wyspiański,ten najlepszy patryota polski, jakiego kiedykolwiek ziemia polska wydała, gorącym będąc demokratą, nieprzejednanym był wrogiem autokracyi, w której panoszeniu się w czasach niepodległej Polski, upatrywał grób tej niepodległości. Pamiętam jedną rozmowę podczas długiej przechadzki po plantacyach, gdy zwalczał moje zapatrywania na literackie postacie Henryka Rzewuskie-

Typy i widoki z Kaszub. I.

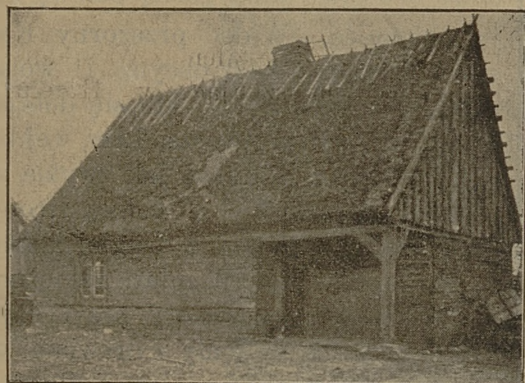
(Patrz artykuł: „Z wycieczki po Kaszubach“)



Ulica we wsi kaszubskiej. (Nr. I.)



Poszywanie dachu na stodole. (Nr. II.)



Chata kaszubska. (Nr. V.)



Strój kaszubski dziś zaniedbany, (Nr. X.)



Studnia. (Nr. VI.)



Sieczkarka (loda). (Nr. III.)



Dzieci kaszubskie skrobiące kartofle. (Nr. V.)

go, który w swoich powieściach, a głównie w „Pamiętnikach Soplicy'' barwnem piórem skreślił kilkanaście typów możnowladców i karmazynów, z drugiej połowy osiemnastego stulecia. Marzeniem mojem bowiem było wówczas napisanie dramatu historycznego, którego bohaterem byłby wojewoda wileński, ks. Karol Radziwiłł, „panie kochanku'', a głównemi osobami dramatu jego dworacy, owi junacy Albeńczycy: Wołodkowicz, Ryś, Borowski, Ślizień i inni „panowie-bracia''. Z ferworem, niemal z uniesieniem powstał przeciw temu Wyspiański, tłómacząc, że nic bohaterskiego nie mają w sobie, ani taki Radziwiłł „panie kochanku'', który był nieszczęściem swego narodu, ani jego towarzysze, którzy czasem, o ile nie przeszli w służbę wroga, umieli mężnie ginąć za ojczyznę, ale nie umieli nigdy żyć, pracować dla ojczyzny. Wogóle w całej historyi przeszłości Polski, Wyspiański w gronie tych co nawą Rzeczypospolitej kierowali, uznawał tylko jednego męża, a tym był Jan Zamoyski, ale ten, jak wiadomo, nie był z grona „królewiąt'', nie był możnowładcą, umiał tylko moc możnowładców ugiąć i majestat tronu należytym nimbem otoczyć. O innych bohaterach „złotej wolności'' szlacheckiej, nie umiał mówić bez podniecenia, niemal bez uniesienia. I tem może się tłómaczyć, dlaczego Wyspiański nie napisał ani jednego dramatu szlacheckiego.

Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić...

Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić,
na jakąż nutę będę nucić
melodyę zgonu mą wyprawną?
Rzuciłem przecież go już dawno.

Już dawno się przestałem smucić
o rzeczy miłe, mnie stracone.
Miałyżby smutki jeszcze wrócić,
kraść, co już dawno ukradzione?

Przecież już dawno się wyzbyłem
marzeń o utraconym raju.
Żyję, by zwało się, że żyłem...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju...

Nad jakąś rzeką, w jakiemś mieście,
gdzie ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.

A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wichr gałązki łomie,
gałązki zeschłe, zwiędłe, kruche,
w jesienną, deszczną zawieruchę.

Tak samo będę słuchał w grobie,
jak deszcz po świecie pluszcze sobie,
jak słuchałem deszczu za tą ścianą, —
i wiem, że znów się zbudzę rano.

Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, mocno grzeje.
Nad grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje.

Stanisław Wyspiański.
1903.



Ks. K. P. Kantak.

Z wycieczki po Kaszubach.

Wielką arteryą komunikacyi międzynarodowej i stosunków międzynarodowych, z której narody czerpią ożywienie, bez której naród nie rozwija się swobodnie a tym mniej państwo poważniejsze, której się naród każdy trzyma i do której dąży — to morze. Polska etnograficzna z jednej strony tylko dotyka morza, w zachodniej części Prus królewskich. Tam mieszka szczep kaszubski.

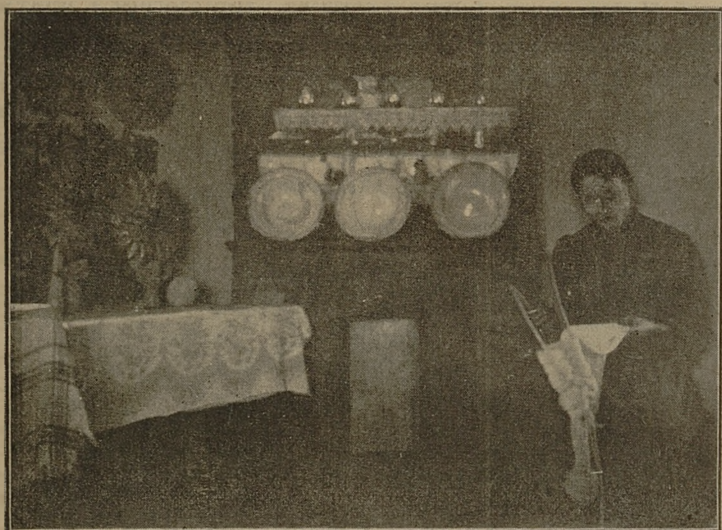
Nie zamierzam tutaj pisać ich historyi etnografii ani folkloru — tylko podzielić się z czytelnikami „Pracy'' garścią wrażeń z latowej wycieczki.

Kaszuby leżą na wyżynie zwanej płaskowzgórzem pruskiem (westpreussische Seenplatte). Cechą jego właściwą piaski, lasy, wzgórza i jeziora. To też południowa część Kaszub zowie się puszczą tucholską. Powiadają, że wjechawszy za Bydgoszczą w lasy (koronowskie) można jechać borami aż do Gdańska. Ziemia niezbyt urodzajna i mało przynosi. Doskonale widać różnicę, skoro się jedzie od Gdańska na Kartuzy ku Kościerzynie (Berent). Z żuław nadwiślańskich (Weichselniederung) nader urodzajnych, wyglądających jak jeden ogród, gdzie za mórg płacą po 1000 marek, wjeżdża się na wzgórza, lewy niegdyś brzeg przedhistorycznej Wisły. Ziemia coraz podlejsza i coraz gorzej uprawna. Na Kaszubach samych mórg płaci już tylko 100—200 mk. Uprawa tu jeszcze prymitywna bardzo. Widać jeszcze starożytne sochy drewniane, ciągnione przez biednego konika, często przez krowę, a czasem nawet przez człowieka-rolnika. Najwięcej a raczej jedynie sieje się żyto i owies, sadzi się kartofle. Pszenica, buraki nie urodzą się na jałowych gruntach.

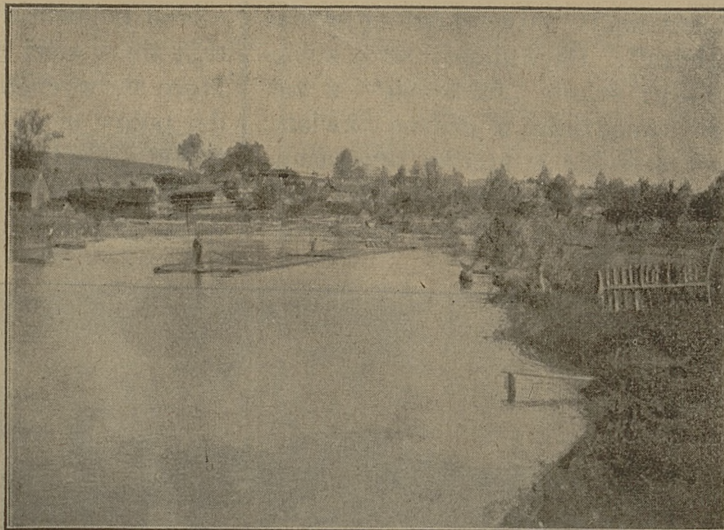
Wieś kaszubska składa się z zagród, stojących opodal siebie. Przez środek wiedzie ulica, którą właśnie pędzą bydło (Nr. I.) Zagroda składa się z chałupy, chlewów i stodoły. W jednej, gdzieśmy byli przed chwilą dach poszywano na stodole (Nr. II.) dach słomiany. Dachówka bowiem jest rzeczą rzadką, bo droga, a i papę spotykamy tylko na nowych budynkach, bo rozporządzenia policyjne zabraniają słomianych dachów. Z drzewa wszystkie domy. Tutaj na „bojowisku'' rżną sieczkę na „lodzie'', staromodnej ręcznej sieczkarce (Nr. III.) Już przed chwilą chata wzbudziła naszą ciekawość, (Nr. IV.), teraz przyglądamy jej się dokładniej. Dach u szczytu pokryty drążkami, aby uchronić słomę przed ostremi wiatrami morskiemi na wyżynie. Z jednej strony dom ma coś na kształt loży — z dachem a bez ścian otwartą werandę. Przed nim dzieci skrobią kartofle (Nr. V.) Opodal żóraw z studnią bez poręczy a otwieraną, co uderza oko nasze przywykłe do innych (Nr. VI). Gdzieniegdzie też chaty się spotyka szczytem zwrócone do ulicy. Wejście do nich jest od szczytu, a drzwi tę mają właściwość, że można także otwierać samą górną połowę niby okiennicę. Widać przezorny Kaszuba zrazu nie ufał obcym i wolał przekonać się z góry, kto się dobija zanim wpuścił przybysza. Lecz wejdźmy do środka. Rozkład jak zwykle w chatach chłopskich: z jednej strony sieni wielka świetlica, z drugiej komora. Na środku piec. W miarę zamożności do świetlicy i komory przytykają dalsze izby. Za to domy z drzwiami w szczycie nie mają sieni przez długość domu. Tam sień stanowi zarazem przednią izbę, o ile gdziekolwiek nie zrobiono jeszcze osobnego przedsionka. Z nią łączy się zaraz tylna. W sieni żarna ręczne się mieszczą, rzadki gdzie indziej zabytek, tutaj w użyciu. W świetlicy nazywanej pospolicie „izbą'', „śrank'' się mieści, w którym gospodyni chowa talerze — malowane mają napisy niemieckie. Te są wszakże starszej daty, zwykle odziedziczone w spadku. Dzisiaj gospodynie kupują białe. Śrank nieraz bywa zdobny w wzory miejscowe (Nr. VII.) Tak samo i skrzynka; do „skrzyńci'' chowają się suknie. Dzisiejszy strój na Kaszubach jest „już'' europejski. Jedynie mężczyźni noszą jeszcze na głowie wielkie czapy granatowe futrzane — ze względów praktycznych (Nr. VIII.) Ale to tylko na codzień. Na niedzielę i wogóle przy uroczystościach, czy to gdy dzieci idą do pierwszej Komunii św., czy też przy poświęceniu figury ubierają się po „miejsku''. A jednak daleko piękniejsze były dawne stroje.

Typy i widoki z Kaszub. II.

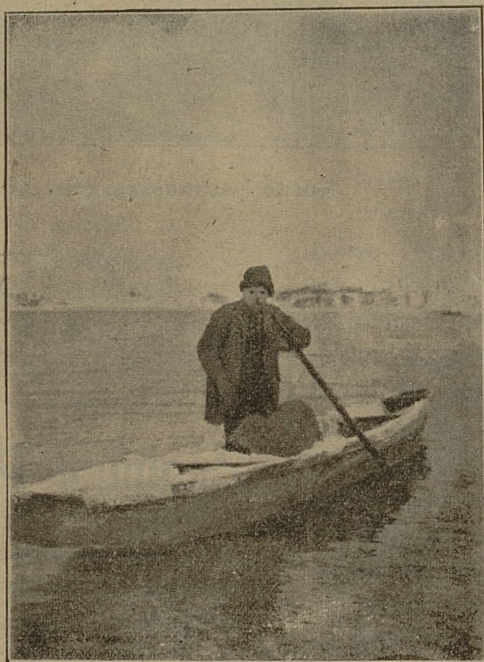
(Patrz artykuł: „Z wycieczki po Kaszubach“.)



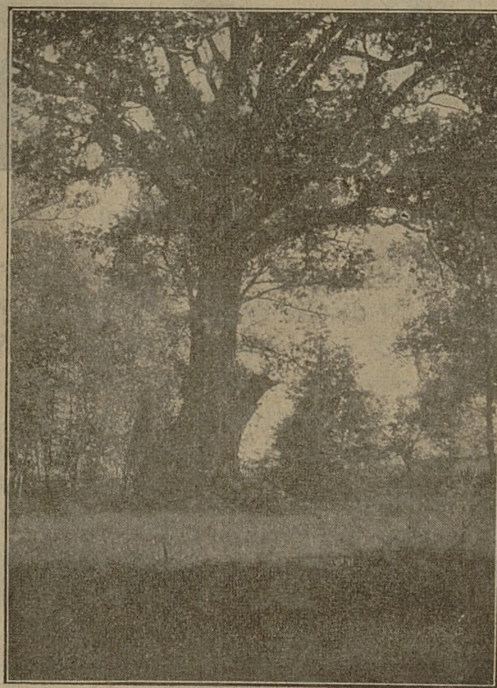
Izba kaszubska z szafką. (Nr. VII.)



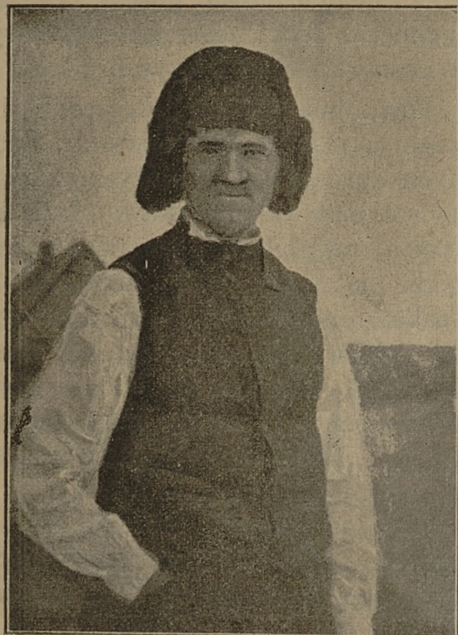
Tratwy na rzece Brdzie, (Nr. XVI.)



Rybak kaszubski na czólnie z jednego pnia. (Nr. XIV.)



Stara sosna. (XV.)



Chłop kaszubski, na głowie czapka granatowa. (VIII.)



Plecenie sieci. (XIII.)



Dziewczyna kaszubska. (IX.)

Mężczyzna w długich butach, w sukmanie z granatowego samodziału zupełnie inaczej wyglądał. Jeżeli jeszcze na to „obul“ płaszcz z peleryną i wdział „czapę“ na głowę, choć jeno był „robociąży“ łatwo mógł się wydać za „gbura“. Barwniejszy strój kobiety nosiły: suknie „fałdziaste“ z zielonego samodziału w czarne kwiaty, rękawy szerokie w środku przepasane wstążką. Na ramionach chustka wełniana bronzowa. Na głowie czepek aksamitny wyszywany złotem i srebrem, na nim „dębowa chustka“ z jedwabiu związane pod szyją (Nr. IX.) Ale taką „złotą głowę“ noszono tylko od święta (Nr. X.) Na codzień używano białych lub pstrych czepków perkalikowych.

O kilka kroków od chaty piec do pieczenia chleba. Niedaleko też jezioro (Nr. XI.), bo wody pod dostatkiem na wsi kaszubskiej.

Rzecz prosta, że ten typ domów kaszubskich zanika powoli coraz bardziej. We wsi Wiele nad jeziorem Wdrydze, jest jeszcze chata zupełnie typowa a bardzo starożytna. Nie ma jeszcze komina murowanego tylko ognisko otwarte rozmiaru dwóch metrów w kwadracie. Istnieje projekt, aby państwo zakupiło ten dom i urządziło tam muzeum wiejskie (dorfmuseum).

Mało przynosi ziemia, więc trudno się z niej wyżywić i utrzymać, ale jakoś to idzie przy Bożej pomocy. Trzeba sobie dopomagać zresztą jak tylko. Stare babki zbierają w lesie na opał gałązki (w lasach rządowych dozwolone powszechnie). Latem dzieci grzyby i jagody oczywiście na sprzedaż. Poza tem jako rodzaj przemysłu domowego plotą się kosze, sprzedawane aż w Gdańsku (Nr. XII). Dobrze jeszcze względnie tym się powodzi, którzy mają prawo rybołówstwa. Kobiety plotą im sieci (Nr. XIII). Ryby poławiane idą na sprzedaż bez wyjątku. Do jakiego stopnia oszczędni są Kaszubi, fakt świadczy, że rybak 70 letni, który już setki nachwytał węgorzów, nie miał w ustach sam ani jednego. W morzu poławiają flądry. Same chwytają się w sieci zastawiane wieczorem, które się wyciąga rano. Na Heli uchodzi połów 60—70 kóp na dobę za niewielki. Czółen używają osobliwych wydrążonych z pnia jednego (Nr. XIV.) Są nadzwyczaj trwałe i mocne. Za najlepsze uchodzą robione przed 100 laty. Najnowsze liczą po lat 50. Dzisiaj już się takich czółen nie drąży, nie tylko dla tego, że drzewo podrożało ogromnie, ale także ponieważ bodajby znaleść podobnie grube pnie, któremi słynęły niegdyś Kaszuby, a które teraz pokazują jako najrzadsze okazy (Nr. XV.) Wszakże do nowych czółen z desek Kaszuba nie ma zaufania. Niejaki zarobek bywa też z flisactwa. Mnóstwo jezior przepływa Brda, łącząc je ze sobą. Więc też spławiają nią tratwy jak przed 300 laty tak i dzisiaj jeszcze (Nr. XVI.).

To wszystko oczywiście nie wystarcza na utrzymanie. To też Kaszubi wędrują setkami w świat na robotę.

Wzgórza, lasy, jeziora, nadawają Kaszubom pewną cechę romantyczności, której nie silę się opisywać. Znana zresztą jest nazwa okolic koło Kartuz, Szwajcarya Kaszubska, a załączone obrazki lepsze dadzą pojęcie czytelnikowi niż moje pióro.

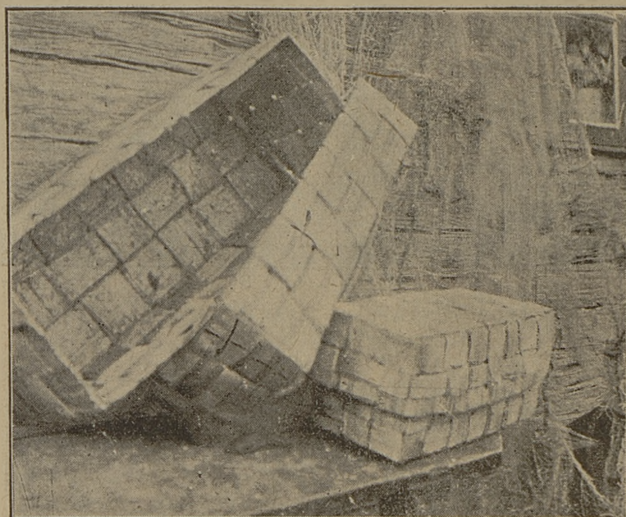
W ostatnich tygodniach skargi i ubolewania rozległy się po dziennikach warszawskich, że Kaszubi giną. Jak niegdyś Galicyę, tak dziś Polskę pruską najeźdzcy powlekli pokostem germanizacyjnym. Stąd wydaje się zniemczona dla Królewiaka, nie przywykłego do takich stosunków. W istocie tak źle nie jest. Z całych Prus królewskich Kaszuby są jeszcze najbardziej polskie. Wybierają nietylko do parlamentu niemieckiego, ale i do sejmu pruskiego Polaków. Naturalnie jak wszędzie tak i tamdotąd niemczyzna usiluje się wcisnąć. I tak jak wszędzie potrzeba umiejętnej i wytrwałej obrony.

Ciekawych położenia narodowo-politycznego odsyłam do seryi doskonale informujących artykułów w „Dzienniku Poznańskim“.





Kaszubka pierze bieliznę nad jeziorem. (Nr. XI.)



Kosze kaszubskie. (Nr. XII.)



Zygmunt Przybylski.

Przybył do Poznania znany komedyopisarz warszawski p. Zygmunt Przybylski, którego cztery jednoaktówki będą grane w tę sobotę na scenie naszej.

Poniżej podajemy podobiznę szanownego i miłego gościa, oraz mały wyimek z oceny jego prac z „Kuryera Warszawskiego.“ Czytamy tam:

Zygmunt Przybylski celował zawsze w pisaniu utworów dramatycznych krótkich, w których umiał w zwięzłej akcyi przedstawić kolizyę uczucia, uwydatnioną za pomocą prostych, ale wymownych środków. Nie szukał nigdy nadzwyczajnych sytuacyi, nie wytwarzał sztucznych nastrojów, tylko szczerze zwracał się do niewyczerpanej krynicy życia: do serca, wierząc, że w niem znajdzie wszystko. I nigdy się nie zawiódł.

To serce młode, którego uderzenia czujemy, tak silnie się odzywające w utworach jednoaktowych Przybylskiego, ma swoją cichą, ale głęboką wymowę.

Przypomnijmy sobie taki „Pier-

wszy bal“. Ile tu prostoty i poezyi w tem pierwszem odezwaniu się serc młodych! A drugi obrazek, z takiem powodzeniem grywany w Rozmaitościach, p. t. „Bzy kwitną“ — czy nie przekonywa dowodnie, ile głębszego sentymentu, ile prawdy tkwi w tych pierwszych drgnieniach budzącej się wiosny?

Autor umie wydobyć z tych prostych scen akcenty poetycznego nastroju, który udziela się widzowi, chętnie poddającemu się tym wrażeniom. Melodye te są rzeczywiście śpiewane „na swojską nutę.“ Odzywa się w nich tęsknota i wesołość zarazem.

„Swojska nuta“ stanowi piętno charakterystyczne twórczości literackiej Przybylskiego, który nie ma w sobie nic z naleciałości kosmopolitycznych prądów, tak silnie odbijających się w dziełach innych pisarzów scenicznych.

Tę „swojską nutę“ odczuwamy we wszystkich jego komedyach, od „Wicka i Wacka“ począwszy. Rozbrzmiewała ona na scenach warszawskich w ciągu dwudziestu lat z górą, jak zaznacza statystyka teatralna, przez 1315 wieczorów! Tyle przedstawień wypełniły u nas utwory Przybylskiego. Autor zdobył sławę i popularność, obok prawdziwej sympatyi publiczności, która przyjmuje go zawsze z wyróżnieniem.

Mieliśmy tego świeży dowód na wczorajszem przedstawieniu w teatrze Małym, który wieczór poświęcił czterem jednoaktówkom Przybylskiego, związanym jedną melodyą „na swojską nutę.“

Jasne niebo roztacza się nad temi obrazkami, malowanemi w słońcu. Tu i ówdzie w promieniach tych lśni rosa-łza, ale niknie ona i wysycha szybko pod dobroczynnym wpływem pogody i ciepła.

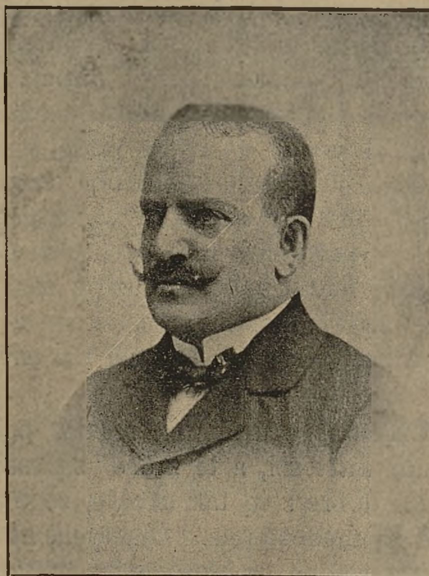
Nastroje tych nowych obrazków Przybylskiego nie różnią się od dawniejszych: autor nie sprzeniewierzył się swemu *credo*. Ten sam ton zasadniczy słychać tu, co i dawniej; ten sam podkład uczucia poczciwego, ta sama rzewność w uczuciu. Obrazek „W polę“ najlepiej może odtwarza tę „swojską nutę,“ będącą głównym motywem twórczości autora.

Dobre, prawe serce ma bohaterka utworu, Julia, szwaczka z zawodu, kiedy nie przyjmuje ręki młodego rzemieślnika, Jana, który chciał jej dotrzymać słowa, choć pokochał przyjaciółkę narzeczonej, Stefkę.

To poświęcenie dziewczyny przedstawione jest z głębszym wyrazem dramatycznym, a po prostu i rzewnie, tak, że wzrusza prawdziwie.

Mniej efektownie wypadł drugi obrazek, będący uscenizowaną nowelą Konopnickiej „Banasiowa.“

Dowcipne zestawienie dwóch kochających się par na tle „Zielonego gaiku“ powiodło się szczęśliwie. Doskonale pasują do siebie w kontraście: ten parobczak Franek z Hanką i pan Karol z panną Elżbietą.



Zygmunt Przybylski.

Przedstawienie zakończył z powodzeniem obrazek „Księżyc i słońce.“



O odżywianiu niemowląt.

Skreśliła Dr. med. Parczewska.

(Ciąg dalszy).

Przyznaję, że tam, gdzie nieprawidłowe odżywianie się zakorzeniło i matka za każdym krzykiem dziecka takowe karmić przyzwyczajona, — że tam bardzo wielkiej energii potrzeba, by porządek w karmieniu zaprowadzić.

Najczęściej kobiety tej energii nie posiadają, ze szkodą dla siebie i dla dziecka. — Ale zawsze warto jest spróbować, bo uregulowanie odżywiania jest najpierwszą i najgłówniejszą potrzebą dziecka i dla jego zdrowia niezbędne.

I czem dziecko za podjęte trudy od razu wywdzięczyć się może?

Zdrowe dziecko wynagradza matce trud około niego położony całym swoim wyglądem. — Rośnie, przybiera na wadze, rozwija się normalnie, rozkwita z każdym dniem. Ciałko jest różowe, jędrne, zaokrąglone, dziecko podnosi główkę już po 4 tygodniach, poczyna się uśmiechać i patrzeć.

W drugim już kwartale próbuje siedzieć — a siedzi dobrze bez oparcia, plecki ma przytem proste nie pochylone. — Żołądek i brzuszek są w porządku, dziecko śpi spokojnie z zaciśniętemi piąstkami koło główki. Jeżeli zaś dziecko zaczyna być słabe, bardzo senne, ciałko jest blade, albo nawet szare, zwiędłe i fałdziste, brzuszek wklęsły, jeżeli na wadze nie przybiera, owszem traci — albo jeżeli dziecko jest jakby nalane, niespokojne, odęte — wtedy zawsze jest dziecko niezdrowe, a może nawet już ciężko chore.

Byłoby jednak błędnem, kłaść każdą chorobę dziecka na karb nieprawidłowego odżywiania, bo i dziecko może mieć wadliwy organizm już od urodzenia i podlega chorobom przypadkowym. O tem trzeba pamiętać mianowicie w tych wypadkach, gdy karmiącym matkom się zdaje, że to *one* są przyczyną choroby dziecka dla tego, że nie zachowały dyety, że zjadły owocu, kapusty, napiły się wody, wina i t. p. rzeczy.

Jest to uprzedzenie, że matka karmiąca powinna zachowywać specyalną dyetę. Owszem, może sobie spokojnie jeść wszystko czego pragnie, byleby jej samej posłużyło. Bo wszystko, co jej posłuży dziecku napewno nie zaszkodzi.

Zdarzają się wypadki, w których pokarm matki jest rzeczywiście niedostateczny — a nawet i takie wypadki, w których dziecko pokarmu tego wogóle nie znosi dla tego, że jest chore, albo ustrój jego wadliwy. — Jeżeli więc matka, bardzo uważna i sumienna — widzi, że przy troskliwej opiece dziecko na wadze od niejakiego czasu nie przybiera, że owszem nabiera wyglądu niezdrowego — to udać się powinna o radę do lekarza im prędzej tem lepiej. On zadecyduje czy pokarm jest wystarczający czy nie. On też niechaj powie, czy zupełnie należy przestać karmić dziecko, czy też tylko usuwać pewne braki i zastąpić naturalny pokarm innym, a mianowicie jakim. — Gdzie jednak o przeszkodach jakichkolwiek mowy nie ma, tam należy odżywiać dziecko piersią, aż do czasu, w którym zdolne jest przyjmować pokarmy inne. Jest to zwykle w siódmym miesiącu — wtenczas gdy już pierwsze ząbki się pokazują. W siódmym więc miesiącu dla dalszego rozwoju dziecka koniecznem jest wprowadzić zupełne nowe składniki pokarmu. Daje się więc dziecku — zdrowszemu w 7-mym miesiącu — słabszemu dopiero w 8-mym — *w połu-*

dnie, w miejsce piersi parę łyżek rosołu — z gołąbka, z kury, z cielęciny — powoli i z wołowiny, zwracając na to uwagę, żeby nie był tłusty. Rosół taki dla dziecka gotuje się zupełnie zwyczajnym sposobem z dodatkiem soli i trochę jarzyn. Dosypuje się zwykle trochę kaszki wiedeńskiej, by był pożywniejszy. — A gdy się dziecko do rosołku przyzwyczaiło, zastępuje się *wieczorem* naturalny pokarm pokarmem sztucznym w postaci porcyi mleka osłodzonego cukrem mlecznym i rozcieńczonego wodą pół na pół.

Gdy dziecko mleko dobrze znosi, daje się i rano mleko w tem samem rozcieńczeniu — a dopiero gdy do tych trzech dawek zupełnie przywykło, można zupełnie przestać karmić piersią i zastąpić pokarm mlekiem w miarę rozcieńczonem.

Dawanie piersi aż do roku i dłużej jest niepotrzebne, a nawet szkodliwe, jeżeli się innej strawy nie poda. Tylko wtedy należy karmić dziecko dłużej jeżeli odzwyczajenie przypadłoby na miesiące latowe, gdy mleko łatwo się psuje i dzieci wskutek niezdrowego mleka do różnych chorób żołądka są skłonne.

W dalszym ciągu wychowania uważa się na to, by w miarę powiększać ilość mleka a zmniejszać ilość wody: czyste mleko dostaje dziecko dopiero przy końcu roku. Ale już poprzednio w 10 lub 11 miesiącu u słabszych podaje się dziecku w południe do zwykłego rosołku z kaszką, *trochę jarzyn* naprzykład kalafiorów, marchewki, szpinaku, szparagów — powoli i kartofli — wszystko to zupełnie rozgotowane i przez cienkie sito przefasowane. — Co do ilości mleka powinna ona wynosić przy końcu pierwszego pół roku pół litra — a na końcu roku mniej więcej litr. Więcej niż litr mleka nie daje się i nadal w drugim roku życia, *by żołądka niepotrzebnie nie rozszerzać nadmiarem płynnego pokarmu.* Dziecko dostaje zatem w drugim roku 4 razy dziennie po 250 gr. = $^1/_4$ litra czystego mleka, w dodatku rano i wieczór tyle sucharka, później bułeczkę — ile potrzebuje do zaspokojenia głodu. W południe dostaje nadal rosół z kaszką, jarzynki lub trochę kompotu. *Dopiero gdy dziecko ma 1 i pół roku wolno podać łyżeczką mięsa białego starannie gotowanego i przefasowanego. Do zwykłego pokarmu dorosłych przechodzi się nie prędzej aż w roku 3-cim.*

Według tych wskazówek postępują dzisiaj z małemi różnicami we większych zakładach wychowawczych, klinikach i w rodzinach, w których rodzice kierują się zasadami hygieny.

Jednakże nie możemy zastosować tego najzdrowszego systemu do wszystkich niemowląt, ponieważ są tysiące takich, które matek nie mają, których matki dla różnych przyczyn karmić nie mogą. Tak n. p. tam gdzie matka pozadomową pracą zajęta, gdzie złożona jest ciężką chorobą, gdzie piersi matki są tak mało rozwinięte, że pokarm przy najlepszych chęciach jest niedostateczny. Tam *musimy* dziecko sztucznie odżywiać, i wiadomo każdemu, że istnieje dużo fabryk, które wytwarzają wiele gatunków preparatów mających zastąpić pokarm matki i które gazety zachwalają jako zupełnie równoważące pokarm naturalny. — Ale tak nie zawsze jest.

Często preparaty są bardzo podejrzanej wartości, a te które są rzeczywiście dobre, są tak drogie, że dla ogółu są niedostępne. Dla tych, którzy zastosować je pragną nadmieniam, że niechaj lepiej wpierw zasięgną rady lekarza. Bo każdy preparat jest inny i ma swoje specyalne zalety i wady, o których tutaj mówić nie możemy.

Na szczęście możemy z wszystkich preparatów skwitować, bo dobre mleko, doborowa kaszka i mąka, sucharek oraz cukier mleczny, wszędzie tanio dostać można. Z tych części składkowych potrzebujemy w pierwszych tygodniach tylko mleko i cukier. Mleko może być krowie lub kozie; wymaga się jednak dzisiaj, by bezwarunkowo pochodziło, ze zwierząt zdrowych, by zastosowane były jak najściślejsze zasady czystości przy dostawie mleka, mającego służyć na pokarm dla niemowląt. Mieszkańcom wielkich miast ułatwione jest dzisiaj nabycie dobrego i hygienicznego mleka — z kuchen miejskich, jak w Poznaniu.

Kuchnie te oddają mleko albo czyste nierozcieńczone, albo też już w formie takiej jak tego wiek dziecka wymaga — rozcieńczone wodą lub klejkiem.

Kto zaś mleko dla dziecka kupuje, niechaj uważa na to, by mleko było tłuste nie zbierane lub wodniste. Dobrze jest jeżeli je można dostać wprost od krowy, dla tego, że mleko, które przez wiele rąk przechodzi, zwykle bardzo dawno porządnie nieumytych, które oprócz tego przelewane bywa z jednego naczynia wątpliwej czystości w drugie, — że takie mleko, powtarzam jest bardzo zanieczyszczone i dużo mieści w sobie może środków choroby.

(Dokończenie nastąpi).

NASZE RYCINY.

Wojciech Kossak. Fragment.

Reprodukcya albumowej ryciny z obrazu wzmiankowanego malarza jest znakomitym epizodem utarczki. Tylko wytrawny batalista, jakim jest Wojciech Kossak, potrafi tak pięknie i tak sympatycznie obrazować sceny żołnierskie z krwawej karty dziejów Polski porozbiorowej.

Obraz wystawiony był świeżo w warszawskim „Salonie“, w Pałacu Sztuki i doznał nadzwyczaj sympatycznego przyjęcia.

* * *

Popielec.

Dnia 4-go b. m. rozpocznie się Wielki post „Popielcem“. Tłumy wiernych podążą do świątyń Pańskich na tę wzniosłą i rzewną uroczystość a kapłan sypiąc im popiół na głowy wypowiadać będzie te znamienne, pełne głębokiej myśli słowa: „Z prochuś powstał — w proch się obrócisz“. Chwilę tę obrazuje świetnie zamieszczona rycina.

* * *

S. Witkiewicz. Zima w Tatrach.

Zamieszczamy dwa śliczne obrazki S. Witkiewicza z Tatrzańskich gór w zimie. Na jednym widzimy, jak sobie górale torują drogę podczas śniegu, na drugim, jak już przebrnęli przez śnieg, jadąc nad przepaścią aż trzeszczą sanki. W sankach siedzi jakiś pan, którego chętka wzięła, obejrzeć się po Tatrach; zimno mu widać, gdyż skurczył się na siedzeniu. Gazdom czyli przewodnikom nie zimno, bo przyzwyczajeni do mrozu, więc śmiejąc się spoglądają na się.

